

Jakub Winiarski

Jeszcze zdarzają się wiersze

*Europa już śpi pod szorstkim pledem granic
i dawnych nienawiści; Francja przytulona
do Niemiec, Bośnia w objęciach Serbii,
Sycylia samotna na błękitnym morzu. (...)*

*Poezja wzywa do wyższego życia,
ale to, co niskie, jest równie wymowne,
głośniejsze niż język indoeuropejski,
silniejsze niż moje książki i płyty.*

Adam Zagajewski, Houston, szósta po południu (fragment)

1.

W zawsze wartej lektury „Sztuce poetyckiej” Horacy, którego dobrego ducha przywołać chciałbym na samym początku tego eseju, tak pouczał adeptów liryki:

*Ogólnoludzka własność przejdzie w osobistą,
gdy się wyzwolisz z kręgu formuł i frazesów
i nie będziesz tłumaczył wiernie słowa słowem
lub jako naśladowca nie zamkniesz się w ciasnych
szrankach przez skromność albo wzgląd na oryginał.*

(Przeł. Stefan Gołębiowski)

Pytanie nasuwa się w tym miejscu dość oczywiste: czy współcześni poeci są tego, o czym mówi Horacy, świadomi? Ci wszyscy dzisiejsi, było nie było, spadkobiercy Homera, Horacego, Lukrecjusza, Wergiliusza, Owidiusza, Safony, Katullusa, Propercjusza, Dantego, Goethego, Heinego, Hölderlina, Keatsa, Donne’a, Baudelairea, Rimbauda, Mallarmégo, Kawafisa, Seferisa, Ritsosa, Rilkego, Pessoa, Yeatsa, Eliota, Apollinaire’a, Ekelöfa, Audena, Celana, Montalego, Ungarettiego, Ponge’a, Larkina, Mandelstama, Achmatowej, Brodskiego, czy też – by zakończyć tę listę, która, choć wydaje się długa, z przyczyn oczywistych winna być jeszcze dłuższa, nazwiskiem twórcy wyjątkowo wyczulonego na to, czym poezja najdokładniej korzystająca ze swoich praw i mocy mogłaby być – Miłosza. Inaczej mówiąc: czy w twórczości dzisiejszych Szwedów, Włochów, Portugalczyków, Greków, Irlandczyków, Austriaków, Łotyszy, Estończyków, Anglików, Rumunów, Niemców, Polaków i wszystkich innych piszących Europejczyków to, co uniwersalnie „ogólnoludzkie” przechodzi, jak życzył sobie tego Horacy, w „osobiste” (i odwrotnie) tak wyraziście, jak w dziełach Dawnych Mistrzów? A także, czy wyzwolili się europejscy poeci współcześni „z kręgu formuł i frazesów”, w których na pewno, jak niemal każdemu człowiekowi dzisiejszemu, przyszło im tkwić czasem zabawnie, a czasem pewnie też – przerażająco? Wreszcie: czy jako świadomi „naśladowcy” licznych poprzedników, na swój sposób i dla udoskonalenia własnego ducha poszukujący poetyckiego Graala – to znaczy tego jednego jedyne ustawienia słów po sobie tak, aby było nie do przestawienia i aby objawił się w nim twórczy geniusz – nie zamknęli się „w ciasnych szrankach przez skromność albo wzgląd na oryginał”? Słowa słowem nie tłumaczyli?

2.

Nieblahe kwestie. Miłosz w „*Traktacie poetyckim*” widział jasno, jak to dziś jest z poezją, dlatego stan jej ocenił surowo:

*Z przyprawą żartu, błazeństwa, satyry,
Jeszcze się umie podobać poezja.
Jej znakomitość wtedy się docenia.
Ale te walki, gdzie stawką jest życie,
Toczy się w prozie. Nie zawsze tak było.*

Czy trzeba coś dodać do tego? Może tylko te kilka myśli Wallace’a Stevensa, który w eseju „Szlachetny jeździec i brzmienie słów” pisał, iż nie ma żywiołu bardziej nieobecnego w dzisiejszej poezji niż szlachetność. A żadnego innego żywiołu – to dla Stevensa było oczywiste – poeci nie poszukują z większą ciekawością i bardziej nabożnie, pewni jego ukrytego istnienia. Dla wrażliwego i świadomego wszystkich negacji twórcy, dodawał ten amerykański poeta, nie ma nic trudniejszego niż afirmacja szlachetności; niczego nie wymaga on jednak od siebie tak zawzięcie, skoro tylko w afirmacjach szlachetności i innych gestach tego rodzaju może odnaleźć sankcje uzasadniające swoje istnienie i te sporadyczne ekstazy, te chwile ekstazy wolności umysłu, które są jego specjalnym przywilejem. Tak, Wallace Stevens miał rację i faktycznie, jak pisał dalej, trudno jest dziś myśleć o czymś, co byłoby bardziej nie na czasie niż szlachetność. Szlachetność, która, według Stevensa, jeśli wprost na nią spojrzeć, wydać się może fałszywa, nieatrakcyjna i martwa. Konkluzja eseju Stevensa mówiła jednak o pewnej nadziei: „tak jak fala jest pewną siłą, nie zaś woda, która wchodzi w jej skład i nigdy nie pozostaje taka sama, tak i szlachetność jest siłą, a nie rozmaitymi przejawami, które wchodzi w jej skład i nigdy nie pozostają takie same.” Albowiem szlachetność jest to „gwałtowna moc idąca od wewnątrz i chroniąca nas przed gwałtowną mocą z zewnątrz. To wyobraźnia odpierająca presję rzeczywistości. Wydaje się wreszcie, że ma ona coś wspólnego z naszym instynktem samozachowawczym; bez wątpienia to właśnie jest powód, dla którego jej wyraz, brzmienie jej słów, pomaga nam żyć.” W takim ujęciu problemu wtórował Stevensowi „mistrz pokonanej rozpacz”, Miłosz. O potrzebie skupienia się na tych nielicznych przejawach dobra, jakie oferuje nam świat, tak pisał on w wierszu „*Rady*”:

*Jest bardzo dużo śmierci i dlatego tkliwość
dla warkoczy, spódnic kolorowych na wietrze,
łódzeczek papierowych nie trwalszych niż my sami...*

Przynajmniej kilku żyjących poetów europejskich – mam tu na myśli m.in. Reinera Kunze, Tomaža Šalamuna, Seamusa Heaney’a, Adama Zagajewskiego – wie o tym dobrze. Reiner Kunze w wierszu „*replika*” opowiedział to pięknym obrazem:

*Są w nas ślady, które tylko sami
możemy zabezpieczyć*

*Jeżeli tylko potrafimy
z takiego drobiazgu
zdjąć odcisk*

*I wtedy jakaś dziewczyna, zagubiona,
odzyskuje ochotę do życia,
a prawdziwy czytelnik mówi:
jeszcze zdarzają się wiersze.*

(Przeł. Jakub Ekier)

3.

Tak, „jeszcze zdarzają się wiersze”. I trudno, żeby było inaczej, skoro poetów – na samą tylko Europę patrząc – jest dziś naprawdę wielu i liczba ta stale rośnie. Ilu ich może być tak dokładnie? Nie sądzę, by dało się to oszacować. Samych kandydatów do Nobla jest w Europie co najmniej kilku, jeśli nie kilkunastu, a trzeba tu przecież dodać jeszcze i tych piszących, którzy tworząc niebywale ciekawie, nie aspirują do najwyższych laurów, zadowalają się sławą lokalną, czasem nawet miejskim czy osiedlowym klubem. W sumie: jest nas nie mniej niż kilkadziesiąt tysięcy (i są to prawdopodobnie rachunki zdecydowanie zaniżone). Większość z tego zacnego grona niezależnych postaci czuje jednakże czasem, że w pojedynkę mniej może wskórać niż w grupie i dlatego zdarza się, że występują oni także zbiorowo, na przykład pod egidą jakiegoś nowoczesnego pisma, które chwilowo łączy poetyki, style i temperamenty. Może to być chorwackie „Quorum” (z Čegecem, Lovrenčićem, Šodanem, Orličem, Rešickim), słowacki „Romboid” (z Grochem, Koleničem, Chmelem, Macsovszkym), czeski „Host” (z Kolmačką, Slívą, Balíkiem, Kotenem, Matzenauerem) słoweńska „Apokalipsa” (z Čučnikiem, Korunem, Podlogarem, Mozetičem), czy austriackie „Literatur und Kritik” (ze Schrottem, Wallem, Kaiserem, Seidenauerem) – a wspominać jedynie tytuły, które wzięły swego czasu udział w akcji „pismo w piśmie”, ze strony polskiej koordynowanej przez krakowskie „Studium” (z Honetem, Baczewskim, Dehnelem, Gabryelem, Dąbrowską, Grzegorzewską, czy Radczyńską). Kiedy człowiek bierze do ręki takie pismo, lub kiedy przegląda jego internetowe strony, w oczy rzuca się przede wszystkim różnorodność, będąca świadectwem poszukiwań autorów, z których każdy chciałby – jak w „replike” Kunzego – zabezpieczyć w sobie samym ślady, które tylko on jeden może poznać i nazwać. I niezwykła jest siła pragnienia, która każe tylu ludziom w tak różnym wieku i o tak odmiennych doświadczeniach życiowych sięgnąć po pióro, czy zasiąść przed monitorem.

Powoli też, ale wyraźnie, zmienia się układ sił. I o ile w połowie zeszłego stulecia emigrant Witold Gombrowicz mógł ubolewać świadomie, że porównywać Mickiewicza z Dantem lub z Szekspirem, to porównywać owoc z konfiturą, produkt naturalny z produktem przetworzonym, łąkę, pole i wioskę z katedrą lub miastem, duszę sielską z duszą miejską, duszę osadzoną w ludziach, nie w naturze, z duszą naładowaną wiedzą o świecie rodzaju ludzkiego – o tyle dziś już w większości przypadków tej nierówności tak wyrazistej nie ma. I autor wywodzący się z tradycji polskiej na przykład mniej już będzie miał podstaw, by powoływać się na taki Gombrowiczowski passus: „Byłże Mickiewicz mniejszy od Danta? Jeśli już mamy oddawać się tym pomiarom, powiedzmy, że oglądał on świat z łagodnych wzgórz polskich, podczas gdy Dante wyniesiony został na szczyt potężnej góry (z ludzi złożonej), z której inne otwierają się perspektywy. Dante, nie będąc może „większy”, wyżej był umieszczony: dlatego góruje.” Z Mickiewiczem, Petöfim, Eminescu – sprawa tak mogła wyglądać, jak to podawał Gombrowicz. Lecz z autorami współczesnymi, którzy w każdym niemal zakątku świata, dzięki tym samym mediom mogą czerpać pełnymi garściami z dorobku kulturalnego ludzkości i nie są tak bardzo skazani na powielanie błędów tradycji rodzimej i zaściankowej – rzecz ma się zdecydowanie lepiej. Nie znaczy to, by kompletnie zniknął – choć jest krytykowany – podział na kultury starsze i młodsze, te rozwinięte wszechstronnie i te, które w dziedzinie sztuki arcydzieł swoich wciąż poszukują. Rzecz w tym, że obecnie można by nawet wysnuć żartobliwy wniosek, iż każda kultura „niższa”, od niedawna dopiero aspirująca do duchowych wyżyn, jest dziś może w istocie swej „wyższa” od kultury np. francuskiej, angielskiej czy włoskiej. A jest taka, gdyż w wielu krajach z wyrazistym „kompleksem kultury” więcej można znaleźć przekładów dzieł francuskich, angielskich czy włoskich, niż w księgarniach Londynu, Paryża czy Rzymu książek z krajów nieco bardziej na wschód od Berlina. Ale to tylko tak żartem.

4.

Jednakże sztuka pisarska – o czym zdecydowanie za rzadko mówi się dzisiaj, czego skutki bywają opłakane – nie jest i nigdy nie była dziełem wszechstronnie wygładzonych przyjemniaczków. Historia sztuki – wystarczy zerknąć w biografie artystów, którzy nasz smak i widzenie rzeczywistości ukształtowali – była zawsze historią ludzi o zaostrozonym stosunku do życia. Bo owszem, literatura jest dziś dla wielu niesłychanie łatwa, skoro wystarczy mieć kartkę i pióro, albo komputer, by pisać. Ale dlatego właśnie literatura bardziej niż inne sztuki – jest niesłychanie trudna. Opowiadanie, wiersz, powieść – byle aktor, modelka czy polityk na emeryturze potrafią je pisać i próbują, myśląc, że przecież to proste. W którym to przekonaniu utwierdzają ich specjaliści od marketingu handlujący nie wartościami artystycznymi, lecz markami towarów, brandami. Lecz skoro tak, niech

artyście raz będzie wolno nie okazywać litości i stwierdzić z premedytacją, choćby to miało zabrzmieć jak truizm: z tego miejsca, gdzie pisać jest tak łatwo, przedostać się w te rejony wysokie, gdzie słowa stają się ostre, a myśli najbardziej znaczące – to już nie każdy potrafi. W dodatku nie sposób nauczyć się tego i choć biznes kursów creative writing kwitnie, to rację miał raczej Platon, gdy pisał, że kto bez szału Muz do wrót poezji przystępuje, przekonany, że dzięki samej tylko technice będzie wielkim artystą, ten nie ma święceń potrzebnych i twórczość szaleńców zaćmi jego sztukę z rozsądku zrodzoną. Inna sprawa, że już w połowie zeszłego stulecia brytyjski krytyk i redaktor Robert Conquest pisał o „konspiracji między poetami a uniwersytetami, mającej na celu promowanie takich wartości jak dwuznaczność lub trudność w poezji, gdyż dzięki nim uniwersytety będą miały zapewnioną pracę”. Konspiracja ta, można dziś dopowiedzieć, ma się świetnie i rok w rok owocuje licznymi przykładami lirycznego mętniactwa, tandety i logorei, której kwintesencją wydaje się być osławiona przez krytyków amerykańskich „pusta metafora” papieża awangardy, skądinąd bywa, że ciekawego poety, Johna Ashbery’ego. „Pusta metafora”, czyli po prostu porównanie nie mające sensu, za to brzmiące dosyć przyjemnie i wystarczająco dziwne, by jakiś czcigodny akademik lub Bogu ducha winny student filologii mógł poświęcić mu co najmniej rozprawkę. Świadomi powagi sytuacji adepci sztuki poetyckiej powinni zdawać sobie jednak sprawę, że prawdziwa „magia” w wierszu wydarza się tylko wtedy, kiedy czytelnik czuje, że autor używa rytmu i obrazów jako środka, żeby coś powiedzieć, a nie jako celu samego w sobie. Stąd dzisiaj między poezją czystą, która dla wielu jest niczym więcej jak kulturalną zabawą słowami, a tak zwaną poezją wierszowaną, w której niektórzy przynajmniej autorzy nadal starają się mówić o problemach i sprawach dla ludzkiego istnienia ważnych – jest przepaść.

5.

Pięknym, ale też okrutnym prawem naszego gatunku – George Steiner wspomina o tym w „Naukach Mi-strzów”, przywołując myśl jednego z charyzmatycznych europejskich nauczycieli, Alaina – jest, że to, co nie jest podziwiane, idzie w zapomnienie. Jest, można dodać, nieszczęśliwym paradoksem, że mając coraz precyzyjniejsze narzędzia interpretacji tekstów literackich, coraz mniej teksty te podziwiamy – i tak dziś, jak i zawsze potrzebna umiejętność kontemplowania dzieł nie jest w praktyce nauczana na żadnej europejskiej uczelni. Niby wiemy, że nasze zachodnie dziedzictwo pochodzi z Jerozolimy, Aten i Rzymu i że alfabet naszej tożsamości stworzyli Platon, Arystoteles, św. Tomasz, Dante i Szekspir, jednak w pogoni za nowinkami i w powszechnym zalewie politycznej poprawności tracimy świadomość tego. Jest jednak prawem natury, że nowe wypiera stare i już nie tylko historia filozofii, jak twierdził swego czasu Nietzsche, jest „ruchomą armią metafor”. Dlatego rację ma Steiner, gdy z pasją czasy obecne nazywa czasami bezceremonialności. Słusznie też pisze, że podziw, a nawet szacunek stawały się coraz bardziej niemodne i dziś uzależniliśmy się od zazdrości, równania w dół i miernoty. Niewiele przy tym brakuje, by demokratyzacja systemu masowej konsumpcji (demokratyzacja, która bez wątpienia niesie ze sobą wyzwolenie i nadzieję) wręcz zakazała wszelkich manifestów zwracających się do elit, do owej arystokracji ducha, tak oczywistej jeszcze dla Maksa Webera. A w sztuce, w literaturze? Odbywa się – i trudno jest cieszyć się z tego – amputowanie tradycji liryki o wiele stuleci. Dzisiejszym twórcom wydaje się, że historia poezji zaczyna się w wieku XIX. Jakie to sieje spustoszenie widać szczególnie wyraźnie w kontekście podejmowania tzw. „wielkich tematów”. Nikt albo prawie nikt nie wie dziś, jak zrobić to tak, żeby było dobrze, jak napisać odę czy hymn, które nie byłyby własną parodią. A przecież wiedzieli autorzy dawni i przepisy podawali dokładne, jak pisać w tych formach kunsztownie.

6.

Jeszcze raz Miłosz: „Czasem świat traci twarz. Staje się zbyt podły. Zadaniem poetów jest mu tę twarz przywrócić, bo inaczej człowiek gubi się w zwątpieniu i rozpacz. Jest to wskazanie, że świat nie zawsze musi być taki: że może być i inny.” Mając wyrytą głęboko w pamięci tę myśl, przy okazji lektury wydanej w Warszawie pół wieku temu książki chińskiego poety sprzed dwóch tysięcy lat, poety, który był dla swojego narodu tym, kim Homer dla Europejczyków, poczułem nagle przyływ – niech i ta metafora, przez zbyt wielu uważana za martwą, pojawi się chociaż raz w tym tekście – przyływ natchnienia i napisałem, co z wiekiem zdarza mi się coraz rzadziej, wiersz „*Myśląc o K’ü Jüanie, poecie chińskim (340-278 p.n.e.)*”. Oto on:

*Dziś ludzie też noszą w sobie splot wstydu i bezradności.
Nie wiedząc, co było pierwsze; wiedząc, że arcyłudzkie
Przeżyją ich te uczucia; być może, że tylko to pewne.
Zakładam, że wiem o nich mało, dlatego to, co tu piszę,*

*Nie może być niczym więcej niż ciągiem przypuszczeń i wahań.
Ich życie to trochę wspomnień – i przykrych, i ekstatycznych.
Ich rozpacz nie może być głębsza, od dawna szoruje już brzuchem
Po dnie kamienistym i zimnym. Nie mówić im nic o miłości.*

*Ocalić ich może życzliwość, lecz wpierw muszą zdobyć się na nią.
Dostrzegam brak większych różnic, gdyż wielu by mogło powiedzieć:
„Budzę się późno i przejść się wychodzę
I taką rozrywką staram się ukoić” –*

*Jak dwa tysiące lat temu wędrujący Chińczyk,
Który dodawał zwierzę, ćwicząc się w dokładności:
„Lecz przybity cierpieniem znów ciężko oddycham.
Gniew dech mi zapiera, ale nie przechodzi.”*

*Też budzę się późno, wstaję i odmykam,
Słyszac znajomy szelest, okryte kurzem żaluzje:
Warstwa szronu na szybie po nocy spokojnej
Topnieje, gdy zbliżam usta do lodowatego błękitu.*

7.

Bez przyprawy „żartu, błazeństwa, satyry”, tocząc z samym sobą walkę – jedną z tych, które ponoć dziś już tylko w prozie się toczy – a także dbając, by „ogólnoludzka własność” przeszła w „osobistą” (i odwrotnie), napisałem ten wiersz tak, jak uważałem, że powinienem był go napisać, aby zadowoleni byli ze mnie wszyscy moi już nieżyjący, jak i ci, którzy żyją jeszcze, mistrzowie. I okazało się w trakcie tej operacji, że to nie niemożliwe. Intuicja i biblioteka podpowiadają mi, że dla niejednego autora współczesnego Muzy bywają od czasu do czasu równie, a czasem nawet bardziej jeszcze łaskawe. Dzięki czemu, jak myślę, Goetheańskie pojęcie Weltliteratur staje się aktualnym terminem, określającym tę strefę bezcłową ducha, w której stale dochodzi do gigantycznej, ożywczej osmozy. A poezja, o której Brodski napisał, że jest esencją kultury świata, ma się – mimo wszelkich niedogodności i ułomności naszego czasu – całkiem nieźle.

8.

Ale: „Nie łudźmy się! Wszystkim nam doskwiera ubóstwo myślenia, nawet tym, dla których myślenie jest niejako profesją. Wszyscy nazbyt łatwo stajemy się bez-myślni. Bezmyślność jest nieproszonym gościem, który w całym dzisiejszym świecie pojawia się i znika. Wszystko bowiem przyjmuje się dzisiaj do wiadomości zbyt szybko i bezkrytycznie. Równie szybko, w tej samej chwili zapominamy wszystko, co przyjęliśmy. W ten sposób jedna impreza goni następną.” (Przeł. Janusz Mizera) Dziś widać, że Heidegger, autor tych słów z późnego wykładu „Wyzwolenie” („Gelassenheit”), nie mylił się w tym wypadku i może trochę też z tego powodu Stanisław Barańczak mógł, czy nawet musiał pod koniec zeszłego stulecia pisać o poezji, że powinna „być nieufnością, bo tylko to usprawiedliwia dzisiaj jej istnienie”. Jedyne bowiem taka poezja, jak dodawał, nieufna w stosunku do wszelkich prawd gotowych, czy nawet wobec samej siebie, może nauczyć człowieka myśleć o świecie w kategoriach racjonalnej nieufności wobec wszystkiego, co zagraża mu pod postacią kłamstwa, demagogii i przemocy. I również o takiej poezji, dotykającej i przemieniającej czytelnika, mówi Lars Forssell w „***Pozwól im przybyć”:

*Pozwól im przybyć –
Dotknąć cię, zmienić
Właśnie zaczynasz*

*Jest poeta na każdą godzinę
pieśń na każdą chwilę
twojego życia*

*Więc pozwól im przybyć z tysiącami sposobów
mówienia „ja to ja”
tysiącami sposobów mówienia „kocham cię”*

*Pozwól im przybyć –
konno jak łowcy lub pieszo jak pielgrzymi –
Właśnie zaczynasz
(Przekł. Justyna Czechowska)*

9.

Ponieważ o kondycji poezji zdecydowanie lepiej niż najbardziej nawet uczone analizy mówią same wiersze, na koniec chciałbym przytoczyć jeszcze dwa utwory. Wybrałem je spośród tych, które znalazły się w europejskim projekcie „Wiersze w metrze”, będącym bezpośrednią inspiracją dla tego eseju. Pierwszy, „Pewnie, że boli”, to dzieło krótko żyjącej poetki szwedzkiej, Karin Boye (1900-1941), drugi liryk, pod zabawnym i prowokującym tytułem „Kto śpi w moim łóżeczku?”, napisała węgierska poetka i piosenkarka Orsolya Karafiáth (ur.1976). Oto one:

Pewnie, że boli

*Pewnie, że boli, gdy pękają pąki.
Bo czemuż by wiosna się wahała?
Czemuż by nasza tęsknota gorąca
miała pozostać gorzko-zmarzło-biała?
Łuska chroniła wszak przez całą zimę.
Czym jest to nowe, co prze i rozwiera?
Pewnie, że boli, gdy pękają pąki,
boli to, co rośnie
i to, co zapiera.*

*Och, nie jest łatwo spadającym kroplom.
Drżące tęsknotą zwisają nabrzmiące,
uczepione gałązki, pęcznieją i suną -
w dół ciężar je ciągnie, chociaż jeszcze trwają.
Ciężko w niewiedzy, strachu, niepewności
Ciężko, gdy otchłań wciąga i przyzywa,
nadal zwlekać, z drżeniem patrzeć w przepaść -
ciężko chcieć pozostać
i chcieć przepaść.*

*Naraz, gdy najtrudniej i nie ma ratunku,
pękają z tryumfem drzewa pąki,
naraz, kiedy obawa już nie powstrzymuje,
spadają z gałęzi migoczące krople*

*niepomne, że bały się tego, co nowe,
niepomne lęku przed drogą w nieznane,
przez chwilę czują błogie ukojenie
otoczone ufnością
tą, co stwarza ziemię.*

(Przeł. Magdalena Wasilewska-Chmura)

Kto śpi w moim łóżeczku?

*Z talerzyka mojego, z mojej szklaneczki kto jadł i pił?
Kto w końcu wszystko potłukł mi, no, kto to był?*

*Kto by myślał, że i mnie może na ziemię cisnąć?
Kto na moim nosku zapragnął zęby zacisnąć?*

*To żałosna i nędzna sprawka – kto rzekł tak z nagłą?
Kogo chciałam o czwartej nad ranem wysłać do diabła?*

*Lustereczko, powiedz mi przecie, a powiedz śmiało,
czy go poznasz tkniętego wreszcie zemstą wspaniałą?*
(Przeł. Jerzy Snopek)

10.

Jak zapewne zauważyli już czytelnicy tego krótkiego szkicu – jego autor porusza się niby wahadło między wiarą w wartość i siłę poezji współczesnej, a koniecznym, jak mu się zdaje, zwątpieniem i sceptycyzmem. Tak właśnie jest i nie wyprę się tego rozdarcia, choćbym chciał (zresztą nie mam takiego zamiaru). Żeby jednak przynajmniej na moment wstrzymać ów nieunikniony ruch i pozostać po stronie nadziei – dobrze będzie zakończyć w tym miejscu. O reszcie powiedzą wiersze.

Jakub Winiarski